

## Teatr Polityczny

Teatr posługujący się metaforą, alegorią czy aluzją święcił zasłużone triumfy. Poruszał niewygodne dla władzy komunistycznej tematy historyczne. \*Tekst pochodzi z czasopisma Teatr (nr 3/2009) \*

Teatr posługujący się metaforą, alegorią czy aluzją święcił zasłużone triumfy. Poruszał niewygodne dla władzy komunistycznej tematy historyczne. **Tekst pochodzi z czasopisma Teatr (nr 3/2009)**

Włóczy się człowiek to tu, to tam, aż zabrnę gdzieś czasem, do jakiegoś celu. Przytrafiło mi się trafić na zgromadzenie ludzi teatru. I to na zgromadzenie nieprzypadkowe. Kilka mądrych osób mówiło szczerze, co sądzi o teatrze lat dawno minionych, porównując go czasami z teatrem dzisiejszym. Pozostali zebrani słuchali, jak zwykle bywa, uważnie. Nagle stało się coś dziwnego. Jeden z mówców zaczął mówić o współczesnym polskim teatrze politycznym. Zacząłem słuchać jeszcze pilniej, żeby nie uronić ani słowa. Nie jestem wprawdzie wytrwałym i uważnym obserwatorem życia teatralnego w Polsce (ani nigdzie indziej), lecz wydaje mi się, że gdyby istniał dziś w Polsce teatr polityczny, to musiałbym coś o tym wiedzieć.

Mówca tymczasem uznawał najwyraźniej istnienie teatru politycznego w naszym kraju za pewnik. Teza, że w Polsce są wystawiane przedstawienia teatralne, wpisujące się w debatę publiczną, wydała mi się szokująca. Mówca zresztą posunął się jeszcze dalej. Wysnuł

misterną analogię z sytuacją z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych, kiedy teatr był w istocie polityczny. Rzeczywiście, wówczas polityka była głównym tematem teatru, przynajmniej jego głównego nurtu. Spośród wybitnych twórców ówczesnego teatru od polityki stronili bardzo nieliczni. Większość ówczesnych artystów teatru za istotną część swojej misji uznawała artykułowanie poglądów i opinii nie dopuszczonych do publicznego obiegu. Teatr w tych latach był miejscem formującym polską inteligencję – co do tego nie ma dwóch zdań. Nie był żadną oazą wolności słowa – cenzura, policje tajne, jawne i dwupłciowe były w stanie zdjąć czy zmasakrować każde przedstawienie. Ale wiele spektakli miało bardzo wyrazistą wymowę polityczną. Sztuka uprawiana na serio, którą wówczas był teatr, nie jest taka łatwa do dogonienia przez łapsów. Pamiętamy zresztą wszyscy, jak musiał się nagimnastykować myśliciel wielkiego formatu, by dowieść, że Adam Mickiewicz nie był i nie będzie sztandarem reakcji. (Wciąż zresztą nie rozumiem, o co myślicielowi chodziło. I raczej już się tego nie dowiem). Trudno było też dowieść, że pisarzami antykomunistycznymi bywali klasycy greccy. Szczególnie antyradziecko byli nastroszeni Arystofanes i Sofokles.

Teatr posługujący się metaforą, alegorią czy aluzją święcił zasłużone triumfy. Poruszał niewygodne dla władzy komunistycznej tematy historyczne. Przypomnę, że w tamtych czasach 11 listopada był dniem bardzo roboczym, a próby jego świętowania były tłumione w zarodku. To w teatrze lat siedemdziesiątych, pierwszy raz po 1945 roku, pojawiła się postać Józefa Piłsudskiego. I to jako postać pozytywna.

Artykułowanie sprzeciwu wobec totalitaryzmu było zajęciem może nie niebezpiecznym, ale na pewno niewygodnym. Lecz większość wybitnych ludzi teatru uznawała, że obrona tożsamości narodowej, obrona tego, co zostało z wolności jednostki, jest ich obowiązkiem. Stawali w obronie praw podstawowych wspólnoty, do której należeli.

Jednocześnie ludzi krytycznie nastawionych wobec reżimu utwierdzali w przeświadczeniu, że nie są sami. Teatr mówił tym ludziom, że wbrew temu, co od rana do wieczora melodyjnie wyśpiewywały prasa, radio, telewizja, nie wszyscy są fanami towarzysza Gierka, a także pozostałych P.T. towarzyszy.

Oczywiście, w totalitaryzmie wszystko, albo prawie wszystko, ma znaczenie polityczne. Wszystko, co dzieje się publicznie, także każde widowisko, niesie ze sobą określoną treść polityczną. Wygwizdywanie sowieckich sportowców było rozpowszechnionym rytuałem we wszystkich krajach bloku. Powstawały i żywo krążyły dowcipy polityczne. Niektóre z nich były naprawdę zabawne.

Dziś jest na szczęście inaczej. Kiedy w towarzystwie słyszymy zatrącający o politykę dowcip – jest on na ogół żenujący. Satyra polityczna jest żałosna i ledwo, ledwo dycha. To, co w systemie komunistycznym kwitło, w demokracji upada. Taka jest naturalna kolej rzeczy. Nikt nie gwizdże na rosyjskich kolarzy czy piłkarzy. Nikt nie słucha ani nie zagłusza zagranicznego radia – mało tego, ono już, przynajmniej z zagranicy, nie nadaje. Nie ma cenzury. Wobec tego pojawienie się teatru politycznego, jaki starsi pamiętają, a młodszy umięją sobie wyobrazić – teatru przemycającego treści nieobecne i niedopuszczone do publicznego obiegu – jest raczej niemożliwe. Mamy wolność słowa, korzystamy z niej do woli, nie ma powodu, aby teatr przemycił jakieś „wrogi” treści, odkrywał „białe plamy”, nie ma już aluzji. Gdyby teatr musiał wracać do takich praktyk, byłby to poważny sygnał choroby toczącej polską demokrację.

Nie mogę wykluczyć, że dzisiejszy „teatr polityczny”, który ów mówca miał na myśli, to teatr propagujący poglądy polityczne takiej czy innej grupy – poglądy jak najbardziej obecne w życiu publicznym. Taki teatr polityczny nie ma, oczywiście, nic wspólnego z teatrem politycznym

schyłkowego PRL-u. Teatr politycznej agitacji w czasach dogorywającej komuny praktycznie nie istniał. Był natomiast żywy w okresie instalowania w naszym kraju przodującego ustroju, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Dla porządku przypomnę, że okres ten nazywany jest stalinizmem.

*Wojciech Tomczyk – dramaturg, autor scenariuszy filmowych (między innymi seriali "Sprawiedliwi" oraz „Oficer”), absolwent Wydziału Wiedzy o Teatrze warszawskiej PWST.*